

Pandemonium zagrożeń

4 marca 2023

W jednej z ostatnich książek słynny historyk anglosaski Niall Ferguson zauważa już w pierwszym zdaniu, że „współcześnie jeszcze nigdy nie dotknęła nas tak wielka niepewność co do przyszłości, a zarazem nie dała o sobie znać tak wielka ignorancja odnośnie do przeszłości, jak teraz” („Fatum. Polityka i katastrofy współczesnego świata”, Kraków 2021, s. 7).

To znaczy, że zapomniana i zmitologizowana przeszłość nie daje szans na wyciągnięcie wniosków z popełnianych kiedyś błędów, a brak wyobraźni i wiedzy nie pozwala na antycypowanie zagrożeń, możliwych do uniknięcia w przyszłości. Zdanie to nabrało szczególnego znaczenia w związku z groźną pandemią koronawirusa, tragiczną wojną na Ukrainie oraz powracającymi katastrofami naturalnymi, jak trzęsienia ziemi. Wielu ludzi uświadomiło sobie, że zjawiska pandemiczne, erupcje wulkanów, ruchy tektoniczne skorupy ziemskiej i wojny, znane od pradziejów, mogą nie tylko zaskakiwać swoją intensywnością i niszczycielskimi skutkami, ale znamionować nieznane i groźne perspektywy ekonomiczne, społeczne, geopolityczne czy technologiczne.

Czterej jeźdźcy Apokalipsy

– Zaraza, Wojna, Głód i Śmierć – doświadczali wszak ludzkość w różnych odstępach czasu w całej historii. Mówiąc obrazowo, nieszczęścia i kataklizmy często deptały sobie po piętach, a czasem wręcz maszerują ramię w ramię. Co interesujące jednak, to skutki katastrof, nawet tych geologicznych, ekologicznych czy biologicznych w dużej mierze zależały od aktywności ludzkiej. Może z wyjątkiem uderzeń olbrzymich meteorytów. Nawet trzęsienia ziemi, co widać obecnie w Turcji i Syrii, są tym tragiczniejsze w skutkach, im gorsza jest jakość

budownictwa, zaniedbania ostrzegawcze i urbanistyczne. Podobnie negatywne skutki pandemii obnażyły marną kondycję służby zdrowia, nieporadność rządzących i wieloletnie błędy prewencyjne.

Co ciekawe, dzięki medialnemu nagłaśnianiu można było zaobserwować niewspółmierny do liczby ofiar wzrost nastrojów panikarskich i histerycznych (infodemia), co zresztą różne rządy wykorzystywały do ograniczania swobód bądź demontowania mechanizmów demokratycznego zarządzania. Wraz z technologiami informatycznymi niepomiarne wzrósł potencjał szerzenia dezinformacji, manipulacji faktami, dostarczania gotowych ocen i osądów o charakterze stronnictwym.

Sięgając do rozmaitych skojarzeń historycznych można pokusić się o stwierdzenie, że pandemie nie powstrzymywały ludzi przed wywoływaniem innych kataklizmów. „Czarna śmierć” (dżuma) w średniowieczu nie zapobiegła eskalacji wojny stuletniej, a słynna grypa „hiszpanka” nie zapobiegła wojnie domowej w Rosji. Obecnie nikogo nie dziwi, że patogen koronawirusa może szybciej rozprzestrzeniać się ze względu na masowe przemieszczenia ludności, spowodowane katastrofami wojennymi i klęskami żywiołowymi.

Wojna to dla wielu ludzi vis maior. Traktuje się ją w kategoriach paraliżującej nieuchronności, mimo że świadomie wywołują ją politycy. Nagle wszystkie racjonalne kontrargumenty tracą sens wobec tego jedynie słusznego wyboru. Każde, nawet najgłupsze i najbardziej szkodliwe działania są usprawiedliwiane działaniem „siły wyższej”. Z punktu widzenia trzeźwej oceny interesu narodowego jest to rozumowanie absurdałne i szkodliwe.

Widać wyraźnie, że jeszcze groźniejsze skutki od zakażenia ludzkich organizmów patogenem niesie ze sobą zakażenie umysłów bakcylem wojny. Te są bardziej tragiczne w skutkach, bo prowadzą do fizycznej zagłady ludzi, ale także niewyobrażalnych cierpień, zniszczeń moralnych i materialnych.

Przy okazji występuje zjawisko znane z frazy Hannah Arendt, czyli „banalność zła”. Ludzi przyzwyczajają się do wojny, tak że z czasem staje się ona niemal naturalnym stanem funkcjonowania. Narzucana narracja przeradza się w wojenną ideologię, w imię której warto się poświęcać, a nawet oddać życie. Przerażeni i zdezorientowani ludzie ulegają psychozie wojny, a ogłupiająca propaganda czyni ich zakładnikami wojujących ze sobą stron.

Sianie zamętu

Podobieństwo pandemii i wojny polega więc na sianiu zamętu w umysłach ludzkich na skalę dotąd niespotykaną. Kampanie propagandowe w obu przypadkach skupiają się nie na przekazywaniu prawdy, ale na podsuwaniu niewyrobionemu odbiorcy kłamstw i bzdur, a przede wszystkim na demonizowaniu wybiórczych źródeł katastrof, bez wnikliwych diagnoz ich uwarunkowań. Sprowadzanie wybuchu wojny do woli jednego człowieka jest największym absurdem dzisiejszej propagandy.

Obecnie straszy się ludzi różnymi tragicznymi konsekwencjami zmiany klimatu, wzrostem poziomu mórz czy uderzeniem w Ziemię kolejnej asteroidy, podczas gdy na co dzień to głupota i samowola polityków oraz ukrytych interesariuszy sprowadza na ludzi rzeczywiste klęski energetyczne, komunikacyjne czy żywnościowe. Podobnie jest z każdą wojną. I nikt za to w praktyce nie ponosi odpowiedzialności.

Jednocześnie niewiele robi się dla uświadomienia ludzkości w dziedzinie katastrofalnych skutków innych zagrożeń, jakie niesie na przykład ze sobą inżynieria genetyczna, systemy sztucznej inteligencji, groźba otwartej cyberwojny (wyłączenie wszelkiej newralgicznej infrastruktury dla życia ludzi), czy koszarne scenariusze rozwoju nanotechnologii. Najsmutniejsze jest to, że niewiele rządów (jeśli w ogóle choć jeden) troszczy się o jakiekolwiek środki zaradcze wobec zagrożeń o

nieznanym prawdopodobieństwie i nieokreślonym czasie wystąpienia.

Co gorsza, same rządy w obawie przed nieznanymi zmianami zmierzają w stronę społecznych katastrof, poddając ludzi wszechobecnej inwigilacji i kontroli, o jakiej nie śniło się nawet George'owi Orwellowi. Zdaniem wielu znawców problematyki, jest to prosta droga do globalnego totalitaryzmu. Nawołując do zjednoczenia ludzkości przeciwko rozmaitym zagrożeniom zakłada się „dyby” na dotychczasowe zdobycze cywilizacyjne, w tym wolności obywatelskie. Nowe ideologie, oparte na tyranii poprawności politycznej i pseudoegalitaryzmu oraz „biciu się w piersi” za grzechy poprzednich pokoleń, pogłębiają procesy destrukcji. Degeneracja jakości sprawowania rządów potęguje negatywne skutki tych procesów.

Wracając do zagrożeń wojennych, ich eskalacja wymyka się spod kontroli. W czasie trwającej wojny na Ukrainie zaczęło działać fatalne prawo inercji, niezdolność do alternatywnego myślenia, zła wola, żądza odwetu i zemsty. Rządy tracą zdolność do przerwania krwawej jatki. Przeciwnie, dokładają starań, aby zapał wojenny nie słabł, aby kolejne transze pomocy podtrzymywały zdolność rażenia, a transze sankcji ją ograniczały. Trwa paradoksalny pęd w stronę przepaści. Moźni tego świata z dala i z wyrachowaniem obserwują teatr haniebnej wojny kosztem niewinnych ludzi.

Okazuje się także, że wojny niczego nie uczą. W kontekście tego, co dzieje się na Ukrainie trudno uwierzyć, jak ochoczo świat Zachodu popiera wojenną konfrontację. Jest to wprawdzie wojna per procura, w której największą ofiarę płaci Ukraina, ale to nie zmienia faktu, że wiele rządów przy mniejszym lub większym wsparciu społecznym zaprzeczyło ideałom pokoju i rozumowi politycznemu. Dopiero doświadczenia olbrzymich zniszczeń, ludzkich eksodusów oraz widma klęski skłonią do poszukiwania środków zaradczych. Niestety, dla wielu niepotrzebnych ofiar nie będzie to mieć już żadnego znaczenia.

Jak pisze Ferguson, „zdumiewająco szybko zapominamy o tym, że dopiero co staliśmy twarzą w twarz ze śmiercią, i ponownie zaczynamy spoglądać w przyszłość, starając się wymazać z pamięci tych, którym nie poszczęściło się tak jak nam i nie myśleć o kolejnej katastrofie” (s. 513).

Od lat 1950., kiedy liderzy przeciwstawnych bloków wojskowo-politycznych osiągnęli dostęp do broni masowej zagłady, istnieje groźba popełnienia zbiorowego samobójstwa z woli skonfliktowanych stron. Wydawało się, że konfrontacja zimnowojenna nauczyła liderów mocarstw pewnej powściągliwości nie tylko w dążeniu do użycia, ale nawet samego myślenia o użyciu broni jądrowej. Rezultatem świadomej aktywności było ograniczanie wrogości i respektowanie zasady nieagresji. Uznano, że użycie broni jądrowej, czy innej masowego rażenia, nie jest ani racjonalne, ani moralnie dopuszczalne. Świadomość skutków zastosowania tych broni uruchamiała wyobraźnię racjonalnych decydentów, że po wojnie atomowej świat ogarnie nuklearna zima. Ci, którzy przeżyją mieliby zazdrościć tym, którzy zginęli w pożodze.

W świetle tego, co dzieje się na Ukrainie mocarstwa posiadające tę broń, w tym Rosja, USA i Wielka Brytania, są gotowe do relatywizacji etycznych intencji oraz działań. Samo posiadanie broni jądrowej pozwala już nie tylko na grożenie nią, ale także deklarowanie zamiaru jej warunkowego użycia, choćby na ograniczonym polu walki. Gdzie się zatem podziały wcześniejsze porozumienia o zakazie użycia broni jądrowej? Przecież miały one charakter dobrowolnych zobowiązań każdej ze stron i były zawierane w dobrej wierze. Tworzyły mechanizmy zabezpieczające, aby żaden szaleniec nie spowodował ekstremalnej katastrofy.

Zakaz wojny jądrowej ma charakter imperatywu kategorycznego, za którym opowiadają się rządy, organizacje międzynarodowe, kościoły, ruchy społeczne, ludzie nauki i kultury. Co się takiego stało, że przy możliwości użycia broni jądrowej znowu majstrują polityczni szaleńcy i nieobliczalni generałowie? I

to po każdej ze stron konfrontacji Zachód-Rosja. Dr Strangelove ze słynnej satyry filmowej Stanleya Kubricka (1964) znów przestaje się martwić i zaczyna „kochać” bombę.

Wszyscy stali członkowie Rady Bezpieczeństwa ONZ mają status atomowych potęg (USA, Rosja, Chiny, Wielka Brytania, Francja). Na nich spoczywa bezwzględna odpowiedzialność za pokój i bezpieczeństwo międzynarodowe. To od nich tzw. społeczność międzynarodowa ma prawo oczekiwać, aby w sytuacji nadzwyczajnej pilnie zwołali posiedzenie na najwyższym szczeblu, postawili wszystko na jedną szalę w celu uratowania tego, co jest wartością najważniejszą, czyli pokoju.

Na nic przydają się tu kolejne manifesty wojenne „najwyższego przywódcy”, jeśli brakuje w nich woli zakończenia tej okrutnej wojny, grożącej eskalacją. Przy okazji kolejnej wizyty amerykańskiego prezydenta w Polsce dobrze byłoby poznać wszystkie prawdopodobne konsekwencje strategii wojennej Zachodu wobec Rosji. Nie wystarczy mieć mas nadzieję na całkowite pokonanie Rosji jako agresora, bez perspektywy na powojenne współżycie skłóconych państw i narodów.

Warto byłoby też dowiedzieć się, jak sztaby specjalistów USA i NATO szacują ryzyko wymknięcia się spod kontroli wojny na Ukrainie i przekształcenia jej w III wojnę światową. Rosja do takiej wojny nie zmierza, co wynika z jej deklaracji, jak i materialnych możliwości. Kto więc stanowi obecnie o groźbie eskalacji wojennej? Ryzyko tego stanu ponosimy my wszyscy.

„Parcie do wojny”

Coraz więcej analityków zastanawia się, co jest najważniejszym czynnikiem popularnego na Zachodzie „parcia do wojny”. Niejedno seminarium naukowe zostanie z pewnością poświęcone wyjaśnieniu tego fenomenu. Obecnie jednak należy stawiać pytania nie tyle, jak doszło do wojny, lecz jak ją można zakończyć bez powiększania kosztów i szkód. Warto takie pytania postawić publicznie dostojnemu gościowi zza oceanu.

Marzy się, aby kontrola i dogład rubieży frontowych nie wynikały jedynie z paternalistycznej roli amerykańskiego hegemonu, dążącego do pokonania wroga. Chciałoby się usłyszeć odmienny scenariusz od tego, jaki wybrzmiał podczas pierwszej wizyty prezydenta USA sprzed roku. Nikt z ludzi dobrej woli nie cieszy się przecież z obiecywania długich i krwawych działań wojennych. Społeczeństwa oczekują – a pokazują to coraz częściej wyniki sondaży – zakończenia absurdałnej wojny i wszczęcia skutecznej inicjatywy pokojowej.

Zapytajmy więc prezydenta Stanów Zjednoczonych, jak rozumie „niepodzielność bezpieczeństwa” we współczesnym świecie. Dlaczego jednym państwom wolno więcej, a innym mniej? Skąd bierze się niepohamowany impet demokratycznej Ameryki, żeby przewodzić innym, bez pytania ich o zdanie? Przecież narody, w tym Polacy, Ukraińcy czy Rosjanie mają własne prawo do definiowania interesów narodowych, bez narzucania im z zewnątrz, jak powinni układać się z sąsiadami i budować swoją przyszłość.

System międzynarodowy jest oparty na pluralizmie uczestników, różnorodności ustrojowej i wielokulturowości. Ta złożoność jest cechą identyfikacyjną państw i narodów. Nie sposób podporządkować jej jednej ideologii i jednej władzy. Chyba że zgodnie z eschatologicznym przekonaniem o kresie ludzkości świat pograży się w totalnym chaosie, zbliżając się nieuchronnie do katastrofy wywołanej przez technologię. Wtedy północ na „zegarze zagłady” oznaczać będzie nuklearny armagedon.

Wojna, choćby najbardziej sprawiedliwa, nigdy nie jest lepsza od najgorszego nawet pokoju. Nieprawdą jest, że poprzez wojnę zbudujemy pokój. Przywoływanie co i raz „złotej” myśli rzymskiego historyka z IV w. n.e. Wegecjusza: si vis pacem, para bellum (chcesz pokoju, gotuj się do wojny) świadczy nie tyle o braku pogłębionej refleksji historycznej, ile o ślepotie poznawczej. Przecież w warunkach istnienia arsenałów jądrowych jakakolwiek wojna na pełną skalę grozi

unicestwieniem wszystkich. Ten, kto rozpocznie ją jako pierwszy, zginie jako drugi. Możliwość zadania ciosu odwetowego każdej ze stron równowagi strategicznej jest istotą pata atomowego. I to ona dotąd gwarantowała stabilność „zbrojnego pokoju”.

Ktokolwiek zatem odwołuje się do rzekomych ponadczasowych mądrości, musi zdawać sobie sprawę z tego, że najczęściej oznaczają one samospełniającą się przepowiednię. Jeśli bowiem któraś ze stron rywalizacji zbroi się celem odstraszania drugiej, to kiedyś zapewne zechce zaryzykować uderzenie prewencyjne. W wyścigu zbrojeń rodzi się bowiem oczywisty dylemat bezpieczeństwa: kto kogo zaatakuje jako pierwszy? Zresztą ileż można produkować i gromadzić broni, amunicji i śmiertelnośnego sprzętu w celu trwałego odstraszania? Wreszcie kończy się cierpliwość którejś ze stron i trzeba zużyć zgromadzone arsenały, aby móc znowu uzupełniać zapasy. Taka jest logika działania ogromnego kompleksu zbrojeniowego, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych, którego produkcja wymaga ciągle nowych zamówień ze strony państw. Te muszą więc cyklicznie organizować „wyprawy” wojenne, mające postać rozmaitych interwencji zbrojnych, aby podtrzymywać, a nawet rozkręcać rozwój gospodarki za pomocą militaryzacji.

„Zdolni do wszystkiego”

Państwa średniej rangi, a do takich należy Polska, nigdy nie będą w stanie dorównać pod względem poziomu zbrojeń wielkim mocarstwom, w tym silniejszym od siebie sąsiadom. Dlatego muszą kreować doktryny obronne, a nie zaczepne i ofensywne. Uznawanie za swoją specjalność beznadziejnej walki z dużo silniejszym przeciwnikiem powinno wreszcie wpłynąć otrzeźwiająco na młode pokolenia Polaków w kierunku realistycznych przewartościowań polityki bezpieczeństwa, z odrzuceniem romantycznego insurekcjonizmu i misyjnego prometeizmu. Chcąc utrzymać trwały pokój z silniejszymi sąsiadami, trzeba – oprócz zbrojeń i wsparcia sojuszniczego –

budować na co dzień więzi kompromisowe i stosować strategię układania się poprzez kooperację, a nie rywalizację. Ta bowiem prędzej czy później doprowadzi do takiego stanu napięcia, że zderzenie będzie nieuchronne. A wynik starcia jest przesądzony stosunkiem sił. Istnieje na ten temat ogromna wiedza politologiczna i historyczna, ale nie każdy polityk ma na jej temat jakiegokolwiek pojęcie. Dlatego naraża się Polaków na egzystencjalne zagrożenia z powodu niewiedzy, naiwności i szalonych emocji rządzących amatorów i ignorantów.

W kontekście rozmaitych zagrożeń pojawia się więc zapotrzebowanie na odpowiedzialnych i skutecznych przywódców, którzy zamiast pustosłowania i puszenia się, okażą ludzką empatię i zdolność do racjonalnego reagowania. Tymczasem mamy na świecie wyjątkowy deficyt mądrych liderów, którzy sprostaliby wyzwaniom, postawili się szaleńcom i stanęli w prawdzie. Obecnie także w Polsce rządzą ludzie „zdolni do wszystkiego”, ale to nie oznacza, że są kompetentni i roztropni. Obserwując scenę polityczną można dojść do wniosku, że w pewnych sytuacjach nawet to, co wydaje się nieprawdopodobne, staje się możliwe. Od czasów Cyncerona wiadomo, że często szczuje się ludzi do fatalnych wygłupów. Wtedy nawet błahe błędy mogą nieść zbrodnicze skutki.

Autorstwo: prof. Stanisław Bielen

Źródło: MyslPolska.info